

Chłopięctwo

Adam Poprawa

Jerzy Płużewski opowiada o pewnym narzędziu, którego od lat używa, uprawiając fach krytyka filmowego. Posiada mianowicie długopis z małą żaróweczką, co umożliwia zanotowanie pierwszych wrażeń i uwag jeszcze w trakcie seansu. Zeszyty z omówieniami tysięcy, tysięcy filmów już są legendarnym zbiorem, drukowane zaś rzeczy Płużewskiego czytam z przyjemnością i pożytkiem, do *Historii filmu* zaglądam tak często, że ciężar bloku książki spowodował poluzowanie wyklejki. Nie powiem, trochę mnie zastanawia, co Płużewski robi z uykającymi mu sekundami filmu, kiedy pochyla głowę nad notatnikiem, jak sobie bez nich radzi? Bo gdyby nie musiał patrzeć na to, co pisze, obszedłby się spokojnie bez prywatnego światełka.

Nie mam, niestety, takiego lichtenszrajberka, dlatego też zacząłem się co nieco obawiać, kiedy oglądając w kinie film Richarda Linklatera *Boyhood*, usłyszałem z ust jednej z bohatererek, że życie tak szybko mija. Starłem się przecież nie zapomnieć tej myśli, i proszę – jak się udało. A znalazło się do zapamiętania nieporównywalnie więcej. Choć gdybym był mniej pamiętliwy, pewnie by było lepiej. Dla sprawy.

Film Linklatera jest wynoszony pod niebiosa. Gdyby Jakub był krytykiem filmowym, owszem, wyśniłby swoją drabinę, po której aniołowie pracowicie by się wspinali, wnosząc na samą górę liczne filmy, i szybko by schodzili po następne. Jakuba zaś nie przestawałoby nurtować pytanie, dlaczego o tych filmach tak szybko się zapomina. (A swoją drogą: piszę to na początku października 2014, państwo pewnie czytają raczej już w roku 2015. Proszę sprawdzić, czy i jak pamięta się, mówi, pisze o *Boyhood*. Ale, oczywiście, nie myślę tu o odpuście świętego Oscara, kiedy – obawiam się, że tak to określa – film połączy Akademię i szerokie grono zwykłych widzów. Chodzi mi o traktowanie filmu serio).

Nie było chyba recenzji ani zapowiedzi, gdzie by nie podkreślono, że film powstał przez prawie 12 lat, że odtwórca głównej roli Masona Evansa zaczynał jako sześciolatek, a kończył zdjęcia jako osiemnastoletni młodzieniec, że wszystkim innym aktorom też przybywało lat z kręceniem kolejnych epizodów... Zgoda, tylko jest to podpieranie filmu czymś z zewnątrz, a niespecjalnie ufam, gdy (na przy-

kład) artyści od sztuki krytycznej muszą szeroko i detalicznie opowiedzieć, o co w ich, pardon le mot, projekcie idzie. Albo nie nabieram też zaufania, gdy recenzja z płyty lub koncertu zaczyna się od pouczenia, że tu nie chodzi tylko o muzykę.

A żeby tak nie skłamać, film się zaczął najfatalniej. Oto jasny błękit nieba, na nim białe obłoczki, najpewniej komputerowo przycinane – cięcie już montażowe – zbliżenie z prześliczną twarzą chłopczyka leżącego na trawie. Zielonej, gdyby ktoś pytał. Nawet plastyka stosowana w obrazkach z Edycji Świętego Pawła jest bardziej powściągliwa.

Tak więc pani Evans się przeprowadza, jak przystało na amerykańską rodzinę, tyle że przenosi się z dziećmi, ale bez męża, jak (zainspiruję się Przybosiem, mniej wprawdzie znanym w roli filmoznawcy) nie-i-przystało na amerykańską rodzinę. Szybko następuje scena z siostrzyczką Masona, Samantha, śpiewającą bratu piosenkę Britney Spears (nie rozpoznałbym, pomogli poprzednicy piszący o filmie). Dziewczynka mimowolnie parodiuje tandetne estradowe gesty, co przy okazji ma pewną wartość, lecz nie o to tu przede wszystkim biega. Problem bowiem polega na tym, że Linklater wciąga widzów w emocjonalną pułapkę. Patrzcie, jaka zdolna! Marek też nagrał naszą Gosię, a wczoraj koleżanka przyniosła do pracy w telefonie, jak jej Basia śpiewa... Filmowanie stało się dolegliwością powszechną, reżyser odwołuje się zatem do quasi-estetycznej wspólnoty licznych odbiorców. I rzeczywiście: żeńska część widowni śmiała się wcale głośno i z przyjemnością.

Babcia Samantha i Masona udziela się w szkole jako wolontariuszka: pracuje w bibliotece i czyta dzieciom książki. Dobrze, wiem, że ludzie w późnym wieku też muszą się realizo-

wać, obawiam się tylko, że Linklater pokazuje tę babciną wypowiedź bez ironii. Owszem, pojawiają się w ciągu prawie trzech godzin projekcji również sceny komiczne intencjonalnie, taką przynajmniej mam nadzieję. Mason wraz z ojcem namawiają do głosowania na Obamę. Pukają do domu, aby zapytać o zgodę na umieszczenie na posesji agittabliczki. Właścicielką okazuje się młoda kobieta, zgadza się od razu i opowiada, że sama zajęła się wyrobem bluzek czy sweterków z napisem „Mamy za Obamą” czy coś w tym guście. Tym razem rozległ się śmiech głównie męskiej części widowni. Gender nie gender, mam w każdym razie nadzieję, że Linklatera również bawiła infantylna ekscytacja epizodycznej bohaterki. Przed nią czy po niej obaj Evansowie trafiają do ultrakonserwatysty, stereotypu (właściwie: stereotypa) w stanie klinicznym. Jasne, tacy też istnieją, ale niezbyt to służy filmowi. Ojciec namawia zresztą syna, by z posiadłości owego negatywa usunął kontrtafelkę z nazwiskiem McCaina. Po amerykańsku: jest problem, to się rozwiązuje. I jeszcze przy okazji polityki: taki na przykład, powiedzmy, Roman Pawłowski, czytając w *Ewangelii* opis Zwiastowania, zarzuciłby autorowi, że niedostatecznie przedstawił sytuację polityczną Nazaretu. Ja nie z tych kręgów, niemniej zastanawia, że *Bohhood* rozgrywa się poniekąd w przestrzeni apolitycznej – nawet wejście Amerykanów do Iraku da się prosto wyjaśnić. Matka Masona fatalnie dobiera sobie absztyfikantów, o czym najlepiej świadczy, że na pewien czas wiąże się z członkiem Gwardii Narodowej. Może zresztą właśnie roztropność delikwenta przekonała biedną Olivie? Otóż opowiada on, jak to było w Iraku. Kiedy był tam rzeczony gwardzista narodowy, nikt z jego oddziału nie zginął. Kiedy przyszli następcy, straty osobowe były znaczne. Dlaczego? Bo gwardzista narodowy uczył swoich, że z ludźmi trzeba umieć sobie ułożyć relacje.

+

Evans senior zabiera syna na kemping. Rano gasi resztki ognia metodą naturalną. Namawia wychodzącego z namiotu potomka, by zrobił to samo. Gdy szary dym intensywnieje z sykiem przyszumie żółtego strumyczka, ojciec opowiada, że to stary indiański sposób. I raz jeszcze nie ma sprawy: jaki problem Indian? Przecież kultywujemy ich zwyczaję.

Na szesnaste urodziny Evans junior dostaje od ojca przygotowany przezeń dwupłytowy album. Mason senior przegrał piosenki eks-Beatlesów z lat 70., wręcza prezent z komentarzem, że to mniej znana, a warta uwagi muzyka. Nie polemizuję, tyle że ojciec nazwał swoje dzieło *Czarnym albumem* – kłopot w tym, że tak nazywa się jeden z klasycznych beatlesowskich bootlegów. Panie Linklater, plagiatować tytuły wydawnictw nieoficjalnych? Ktoś pracowicie przeciwdziałał opieszałości wielkich płytowych koncernów, a pan sobie, ot tak, przywłaszczasz nazwę?

Jest też scena z dubeltową przysięgą na flagę, amerykańską i stanową. Nie wykluczam, że Linklater byłby zdziwiony, słysząc w tym momencie śmiech w europejskich kinach. Ale wracam do szesnastych urodzin Masona: dziadek, to znaczy ojciec nowej kobiety Evansa seniora, wręcza mu iście amerykański podarunek spadkowy – Biblię i strzelbę. Wydaje się, że tylko na Południu niektórzy widzowie nie śmieją się w tym momencie.

Jest jeszcze przymusowe przyjęcie maturalne dla Masona, jest wypowiedź matki, której słowa wreszcie by mogły coś do filmu wnieść. Mówi zatem Olivia Evans, że życie zeszło na ślubach, rozwodach, rośnięciu dzieci i starzeniu się, a teraz zostaje jej już tylko własny pogrzeb. No, wreszcie! (Scena, nie zaś przewidywana śmierć bohaterki). Po nieustannych naiwnościach projekcji-identyfikacji widz mógłby wreszcie zrozumieć, że życie to również czczość lub to,

o czym da się przeczytać u Eklezjastesa (o ile wiem, nie figuruje on na listach dostępnych scenarzystów). Ale to wszystko potencjalne: negatywne odczucie zostaje natychmiast rozbrojone przez Masona, który mówi matce, że ta znacznie wyprzedza wydarzenia.

Recenzenci rozpltywali się nad wzruszającą apologią codzienności, którą miałyby być film Linklatera. To nie tak: codzienność nie może składać się przeważnie z sentencji, a jeśli się pojawiają (bo przecież w realiach pozaestetycznych też nie brakuje amatorskich uogólnień mądrościowych), to dobry reżyser nie powinien ich podawać do wierzenia bez choćby śladu dystansu. Jasne, chętnie zobaczyłbym film o trwającej kilkanaście lat codzienności, ale twórcy takiego filmu musieliby zdawać sobie sprawę, jak bardzo jest ona niejednoznaczna, ambiwalentna, wewnętrznie sprzeczna, jedyna i bezwyjściowa. *Boyhood* Linklatera to nie ten przypadek.

Finałowa scena przedstawia czworo studentów, którzy – odpuściwszy sobie imprezę integracyjną (no, proszę, proszę: widzów nie zgorszy taka społeczna postawa?) – wybierają się w pobliskie góry. I byłaby to wielka scena, z płynnie wygaszoną puentą obrazu, gdyby nie landszaftowość planów ogólnych oraz barwne filtry dobrane tak, żeby zadziałały nawet na daltonistów. Gdyby nie wrzeszczący nowy kolega Masona, który musi zwrócić uwagę na niezwykłość chwili. Gdyby wreszcie słowa dziewczyny: „zawsze jest teraz”, zabrzmiały raczej jak przejęzyczenie niż ostatnią już w filmie złotą myśl. ●